

Kultura u podstaw

www.kulturaupodstaw.pl

Gwary / Wielkopolska



wielkopolska.
kultura u podstaw



SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO



OD REDAKCJI

Oddajemy w Państwa ręce kolejny tegoroczny do-
datek Kultury u Podstaw – tym razem poświęcony
gwarom.

Dla większości z nas – mieszkańców Wielko-
polski – to jeden z pierwszych tzw. żywych języ-
ków, który słyszymy na co dzień. Jakie jest jednak
współcześnie jego miejsce w naszej codzienności?
Czy język gwarowy ma ważne znaczenie dla kul-
tury? Czy gwary mogą być inspirujące? Jak się je
bada? To tylko kilka pytań, na które próbowaliśmy
znaleźć odpowiedź.

Nie bez powodu twierdzi się, że nasze dziedzic-
two zapisane jest w języku. To, jak mówimy, jak wy-
powiadamy swoje myśli, nie tylko wskazuje na naszą
przeszość, ale także na to, jak korzystamy z trady-
cji. I w końcu – czy jesteśmy związani poprzez język
z regionem, w którym żyjemy.

Profesor Jerzy Sierociuk przekonuje, że gwary
są „o nas dla nas”. Wyjaśnia, że: „najpierw nie było
języka pisanego, tylko właśnie gwary – języki mów-
wione, które legły u podstaw języka literackiego”.
Justyna Kobus z Pracowni Dialektologicznej UAM
prowadzi badania terenowe dotyczące archiwizacji
gwar. W artykule „Z gwarą na językach” pokazuje, na
czym polega dziś praca dialektologa i dlaczego „war-
to chronić tradycję ukrytą w języku mieszkańców
wsi”. Anna Kaźmierak, autorka „Elementarza trady-
cji Regionu Kozła”, zaznacza, że „z miejscami, z któ-
rych pochodzimy, jesteśmy związani jak z rodziną”.
Z kolei Jarosław Jaromi Drażewski odkrywa blueso-
wą stronę gwar.

Na koniec polecamy dwa teksty literackie:
pierwszy, „Wew koleje” – Mariana Antoniego Bart-
kowiaka, propagatora gwary z Kościana; drugi to
premierowy fragment „Kubusia Puchatka”, czyli –
mówiąc po naszymu – „Misia Szpeniolka”, który
znakomicie przełożył Juliusz Kubel.

Życzymy dobrej lektury i zapraszamy na łamy
portalu Kultura u Podstaw – www.kulturaupodstaw.pl.

O nas dla nas

Z prof. Jerzym Sierociukiem rozmawia Barbara Kowalewska

**Dla miejscowych ich język nie jest gwara,
to „ci inni” gadają gwara, ci z sąsiedniej wsi.
„My mówimy normalnym językiem” – twierdzą.
Wszyscy tak myślimy.**

**BARBARA KOWALEWSKA: Czym zajmują
się dialektolodzy?**

JERZY SIEROCIUK: Odpowiem nieco przewrot-
nie. Dialektolog nie pyta rozmówcy, skąd pochodzi,
bo słysząc w jego mowie regionalne cechy gwarowe,
potrafi wskazać, skąd człowiek jest. Analiza języka
może nam wiele o człowieku powiedzieć. Ważny
jest słuch fonematyczny, a właściwość ta przydaje
się chociażby w... kryminalistyce. Na podstawie na-
grań głosu wprawdzie nie można nikogo skazać, ale
można rozpoznać cechy języka i pomóc w śledztwie.
Kiedyś tu, w Poznaniu zwrócił się do mojego kole-
gi oficer ówczesnej milicji z prośbą o pomoc. Mieli
tylko listy poszukiwanego z żądaniem okupu; wyda-
wało się, że napisał to człowiek niewykształcony, bo
były pełne błędów. Ale po analizie języka tych listów
kolega wykazał, że tylko ktoś dobrze wykształcony
mógł zrobić takie błędy, zresztą celowe, żeby zmy-
lić śledczych. Dzięki tej analizie – nawet tekstu pi-
sanego – dosyć dokładnie ustalono charakterystykę
przestępcy i schwytano go.

O, to jesteśmy w powieści sensacyjnej.

To tylko skutek uboczny. Badamy gwary, bo to
część niematerialnego dziedzictwa, zgodnie z kon-
wencją UNESCO o ochronie dóbr kultury niemateri-
alnej. Niestety, człowiek jest z natury materialistą
i, gdy wygrzebie stary garnek na polu, to już prawie
w regionie zakłada się muzeum, ale jak babcia mówi
„mietła”, „kocień”, to się babcie zamyka w „kómórcę”
(też wymowa gwarowa), bo to jednak wstyd. Ludzie
nie rozumieją, że to cecha językowa, która ma po-
nad 1000 lat. Prawidłą rozwoju polszczyzny doku-
mentują też formy „kón”, „dóm” – wysmiewane jako
gwarowe. Mało kto wie, że w gwarach zachowało się
wiele cech z historii języka polskiego, ale też języka
prasłowiańskiego.

Wyjaśnijmy terminy „gwara” i „dialekt”.

Najkrócej – gwara to język mówiony, przeka-
zywany ustnie z pokolenia na pokolenie. Ale to też
nie jest takie proste. Dla miejscowych ich język nie
jest gwara, to „ci inni” gadają gwara, ci z sąsiedniej
wsi. „My mówimy normalnym językiem” – twierdzą.
Wszyscy tak myślimy. Gdy przyjechałem do
Poznania (pochodzę z Lubelszczyzny), wyłapywa-
łem u kolegów gwarowe elementy. Odpowiadali:
„Co się czepiasz? Przecież wszyscy tak mówią”. Nie
mieli świadomości, co w ich języku pochodzi z gwa-
ry. Język literacki, w odróżnieniu od gwary, ma sko-
dyfikowaną gramatykę i spisane reguły. Kto ich nie
przestrzega, robi błąd. W kontekście gwarowym nie

ma błędów, bo to jest żywy język. Poza tym gwara to
mowa niewielkiej grupy. Przy dużych wsiach moż-
na nawet zauważyć różnice na jej dwóch krańcach.
Weźmy wielkopolską „hyćkę”: oznacza owoce czar-
nego bzu, ale gdzieś indziej też krzak, a nawet potra-
wę – groch z kapustą.

Z kolei dialekt to zespół gwar tworzący gru-
pę o określonych, wspólnych cechach językowych.
W Polsce do niedawna było pięć dialektów – teraz
mamy cztery, bo kaszubski ustawą sejmową został
uznany za język regionalny. Gwary wielkopolskie
nie mają cech mazurzenia i charakteryzują się inną
niż w dialekcie mazowieckim fonetyką międzywy-
razową – udźwięcznianie przed niektórymi głoska-
mi, głównie samogłoskami. Na Mazowszu jest „brat
matki”, a w Wielkopolsce: „brad matki”. Za Wisłą
przyznają: „Śmierć i żona od Boga przeznaczona”,
a po poznańsku to zabrzmi: „Śmierdzi żona od Boga
przeznaczona”. Bo mamy tu właśnie udźwięcznienie
przed „i”. Ludzie stąd nie są świadomi, że tak mówią.

**Czy gwary pomagają zrozumieć
historię języka?**

Najpierw nie było języka pisanego, tylko właśnie
gwary – języki mówione, które legły u podstaw języ-
ka literackiego, tyle że pewne cechy języka literac-
kiego zmieniły się. Niektóre archaiczne formy po-
zostały jeszcze żywe właśnie w gwarach. Niektórzy
uważają, że gwary zanikają pod wpływem mediów.
Ale to nie tak. Czasem podczas badań terenowych ze
studentami rozmówczyni mówi: „jeszcze tylko ten
odcinek serialu obejrzę”. Po pewnym czasie proszę
rozmówczynię, żeby opowiedziała nam, co widzia-
ła. I okazuje się, że nigdy nie używa tego samego,
„filmowego” języka. Mówi „po swojemu”. Ludzie
nie przejmują w całości języka z telewizji, on się po-
 prostu zmienia wraz z odchodzącymi pokoleniami.
Dlatego trzeba odnotowywać słowa, nawet jeśli są
to pojedyncze przypadki użycia. Gwara to wypadko-
wa mowa pojedynczych osób (tzw. idiolektów), bo
nawet w jednej rodzinie mogą być różnice językowe.

**W takim razie, na ile gwary są dzisiaj
żywe?**

To złożony problem. Niektórzy przyjmują, że
gwary giną, ale to by zakładało, że były niezmiennie.
A przecież jeśli są przekazywane drogą ustną, to ję-
zyk musi być dostosowywany do codzienności. Jeśli
życie na wsi się zmieniło, bo mamy elektryczność,
samochody, to ci ludzie muszą inaczej wyrażać się
na co dzień. Rolnik dzisiaj już nie mówi „naklepać
kosę”, bo są już kombajny, a i on sam już nawet nie
wie, jak tę kosę należałoby klepać.



REDAKCJA:

Jarosław Borowiec, Karol Francuzik,
Barbara Kowalewska

KOREKTA:

Marta Baszewska

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:

Anna Kaźmierak

WYDAWCA:

Urząd Marszałkowski Województwa
Wielkopolskiego, Departament Kultury

SKŁAD:

Joanna Jopkiewicz

DRUK:

Polska Press Sp. z o.o.

kulturaupodstaw.pl

facebook.com/kulturaupodstaw

instagram.com/kulturaupodstaw



Czy to znaczy, że pojawiają się nowe zjawiska w badaniach gwar?

Oczywiście, że tak. Podam przykład: istnieje przekonanie, że formy „glinianny”, „wielnianny” istnieją tylko w Wielkopolsce, a okazuje się, że są też w gwarach białoruskich oraz w dużym kompleksie gwar w okolicach Petersburga. Powstaje pytanie – jak to interpretować? To są tzw. archaizmy peryferyjne, czyli bardzo stare formy zachowane na peryferiach językowych. Wielkopolska może mieć dużo elementów starosłowiańskich.

Ludzie migrowali, szczególnie po II wojnie światowej, mamy tu sporo przesiedleńców ze Wschodu. Czy te gwary się mieszały?

To zależy gdzie. Ziemie zachodnie i północne to tak zwane nowe dialekty mieszane. Kiedy przesiedleńcy zjechali się z różnych stron, prowadzono badania nad rzekomą integracją językową, zakładając, że wygra język literacki. Okazało się, że ludzie dogadują się inaczej. Rozumieją inne gwary, ale mówią w swojej. Informatorzy mówią: wiem, że dla nich „wymborek” to wiadro, a po naszymu to „kubelko”. Jeśli nawet gwary się przenikają, to nie tak szybko, jakby się wydawało.

Można nawet zadać pytanie, co ma gwara Wielkopolska do Słowiańszczyzny? Była u nas studentka z Archangielska, która badała zagadnienie zakazów i nakazów związanych z ciężą i pogrzebem. Okazało się, że jest dużo wspólnych, archaicznich elementów, podobne zachowania potwierdzają też materiały z Ukrainy. Możliwe więc, że to, co zachowało się w kulturze tak odległych od siebie terenów, może pochodzić z okresu prasłowiańskiego.

To poszerza perspektywę.

Tak. Uważam, że zajmowanie się jakimś wąskim obszarem gwarowym to strata czasu. Grzebiemy w jednej piaskownicy, a nie wiemy, jaki u sąsiada jest piasek. Tymczasem kontakty między Słowianami pozwalają na porównania, poszerzają spojrzenie.

W Poznaniu zainicjowaliśmy cykl międzynarodowych konferencji koncentrujących się na wypracowaniu adekwatnej metodologii badań. Byłem inicjatorem utworzenia Komisji Dialektologicznej przy Międzynarodowym Komitecie Słowistów; wydajemy internetowy rocznik poświęcony dialektologii słowiańskiej „Gwary dziś”. Respektujemy zasadę, że każdy język słowiański jest ważny. Zależy nam bardzo na kontaktach ze środowiskiem sławistycznym. Tymczasem ministerstwo daje najwięcej punktów za publikacje po angielsku i z cytowanymi autorami anglojęzycznymi. Tylko kto z tych anglojęzycznych autorów zajmuje się gwarami słowiańskimi i rozumie je?

Próbujemy uzgadniać wspólną metodologię z badaczami w różnych krajach. To pozwala porównywać materiały i określić, jak była zorganizowana kultura nie tylko danego regionu, ale też dużych obszarów Słowiańszczyzny, jakie były zasięgi zjawisk i jak gwary się zmieniają. W Bułgarii koledzy podjęli pracę nad słownikiem gwarowym, proszą o konsultacje. Chcą porównywać sposób prezentowania materiału stosowany przez nas i w ośrodku leksykograficznym z Petersburga. To daje szerszą perspektywę i pozwala unikać błędów.

Pytamy o język, ale też o zagadnienia etnograficzne. Mówimy o językowo-kulturowej wspólnoty wsi. Dlatego oprócz notowania słów gwarowych fotografujemy wychodzące z użycia przedmioty.

Jak wygląda dziś zainteresowanie gwarami w regionie?

Mój zespół we współpracy ze środowiskami lokalnymi przygotowuje opracowania leksykograficzne słownictwa różnych regionów – Wielkopolskie Słowniki Regionalne. Kiedy pokazujemy je w terenie, ludzie mówią: „my też takie chcemy”. Starsi odchodzą i razem z nimi pewna kultura i warstwa językowa. Mówią: „Panie, jak my pomrymy, to tego nie będzie”. Powstają lokalnie, według zasady: „o nas dla nas”. Gdyby zrobić słownik gwar z całej Wielkopolski, to nikt nie chciałby tego czytać.

JERZY SIEROCIUK – profesor, językoznawca, kierownik Pracowni Dialektologicznej UAM w Poznaniu. Jego zainteresowania naukowe to polska dialektologia i folklorystyka na tle słowiańskim oraz specyfika gwar wielkopolskich. Organizator międzynarodowych konferencji i serii wydawniczej „Gwary dziś” oraz redaktor naczelny internetowego rocznika sławistycznego o tym samym tytule. Członek Komisji Słowotwórczej oraz Komisji Dialektologicznej przy Międzynarodowym Komitecie Słowistów.

Coraz częściej też odbywają się w terenie konkursy dla dzieci i młodzieży, to dialog pokoleń. W Bukówcu Górnym koło Leszna, gdzie prowadzimy badania, coraz więcej młodzieży chce brać udział w tych konkursach. Jest pełna sala, przyjeżdżają ludzie z zewnątrz, chcą posłuchać. Jurorzy nie mają ładu, bo wszyscy słyszą, czy ktoś dobrze powiedział, czy nie. Kiedyś było tak, że w ogłoszeniach parafialnych ksiądz zapowiadał: „za tydzień jest od piętnastej gwara, obowiązkowa, bo to jest nasze”.

Jak dzisiaj prowadzi się badania terenowe?

Mówię studentom, żeby rozmawiali z babciami. Potem są zdziwieni, że „o takich rzeczach mi mówiła!”. Młodzi przekonują się, ile starsi mają do powiedzenia. Do swoiście realizowanego dialogu pokoleń zapraszamy szkoły; w dialektologii brakuje bowiem „rąk do pracy”, do zbierania materiału w terenie. Na szczęście odpowiednio przygotowany przez nas kwestionariusz i dyktafon pozwalają dziś włączyć się w to różnym osobom. Mając nagranie, my, dialektolodzy, możemy potem weryfikować informacje językowe.

Trzeba uważnie notować każde słowo. Z wyrazami gwarowymi jest jak z ludźmi, jedne wyrazy mają szczęście i ktoś je zapisze, a inne nie. Studentka trafiła kiedyś na nazwę grzyba: „podróźniczek”, ale nie zapisała tego, bo „przecież wszyscy tak mówią”. To złudzenie. Może tutaj tak mówią, ale nie wszędzie. Jedni zbierają „kanie”, inni „sowy”, a to ten sam grzyb.

Nagrania są cenne, ale mamy teraz problem prawny z upublicznianiem dokumentacji. Nie możemy też zabiegać o granty na ten cel, bo one zakładają właśnie upublicznianie.

Dlaczego nadal nagrywacie?

To materiał do badań dla kolejnych pokoleń. Jeśli nikt tego dziś nie robi, za pięćdziesiąt lat nie będzie czego badać. Poza tym nie można traktować tak samo materiału zbieranego kilkadziesiąt lat temu i dzisiaj. Dlatego przy każdym notowanym wyrazie podajemy datę zapisu, żeby obserwować proces zmiany gwar w czasie.

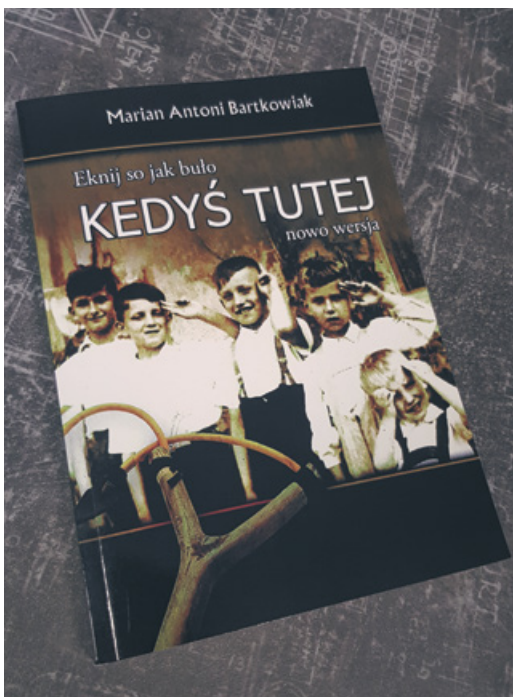
Wszystkim zainteresowanym polecamy internetowy przewodnik po dialektach polskich i zapraszamy do współpracy przy badaniach terenowych:
www.dialektologia.uw.edu.pl

ZDJĘCIE: Mariusz Forecki

Marian Antoni Bartkowiak

Wew kolejce

Pamiyntum, jak mojo ślubno po cołki nocy warowanie pod sklepym, co mieli mieć lodówki, telefuniuła du mnie do roboty zez pytaniem, że dowieźli aby zamrażarki, wyinc czy brać? Jo na to: brać, nie obglundać sie, jak jezd okazja, a zaś bydymy sie martwić, co zez tym luksusym poczyniymy.



MARIAN ANTONI BARTKOWIAK (ur. 1948) – prozaik, autor opowiadań i tekstów piosenek pisanych gwara, miłośnik i propagator gwary wielkopolskiej. W latach 1970-2001 pracował w Zakładach H. Cegielskiego SA w Poznaniu, w których ostatnio kierował wydziałem spawalni silników okrętowych. W 2009 roku ukazała się jego książka „Kedyś tutaj... czyli blubry zez Kościana”. W tym roku opublikował jej drugie, uzupełnione wydanie „Eknij so jak buło... Kedyś tutaj... nowo wersja”. Od wielu lat prowadzi stronę internetową: www.blubracz.koscian.net. Mieszka w Kościanie.

Nie rozchodzi sie tu o kolejke linowum czy inkszum bane, jak PKP, ani tyż zabowke dla dzieciarów, co lotała po szynach wew chaci na dywanie u ty wiary, co raczy zez kolejkum, ło który tu bydzie mowa, niewiele miała wspólnygo.

Rozchodzi sie ło to, co dzisiej, jak so ekniecie wew supermarketach, na nagrumadzune tam towary i tak poukładane, co by wew ślypia same wpođały i pakowały sie do tego wielgiygo wózka, który pkocie, jakieście sum szanowane szpeniole guli tego, żešta sum pany klijnty i jak jorgniecie sie, jaki to lizus tyn sprzedawca, co cinygim ino czai sie, guli wtryniuniu wum jakigo towaru, to cinyżko bydzie wum (a młodziokum barzy cinyżko) dać wiare wew to, co wum kce nagryolić. Szak dzisiej na rynku wszyćko jezd – łod wyboru do koloru – aby tylko bejmów, to wiara za doś ni mo.

Tero, co byście kapli, co młodzioki nie pamiyntajum, zaś starszo wiara pamiynto doś dokładnie, bydzie ło słynnych niegdys na cołki świat kolejkach wew naszym Peerelu, w czasach wspaniały gospodarki planowy.

Wyinc, wiara, buło to mniej wyncy tak: buły wew mieście różniaste sklepy, jak dzisiej. Nie jakiesiś megasamy i supermarkety, ino takie normalne zez ladum, kierownikum i persunelum. Dejma na to – rzeźnik. Dzisiej tyż jezd, ino mo szyld: „RZEŹNIK”, a wew środku różne miynsiwa, chabasy i wyndliny. A wew tyn czas miał ambitny szyld: „MIĘSO I WĘDLINY”, ino że wew środku buł aby rzeźnik i prowie co dziyń przed jego drzwi (na wiele godzin pryndzy, niż stajało na tych drzwiach napisane, ło który sie łotwyro) ustowiała sie wiara wew kolejce, co mieli skiyndys wieści, że dzisiej, prócz rzeźnika, bydzie jeszczyk do nabycia coś do spucniyńcio dla wiary.

Jedyn taki wielgi łožgol miał baczynie, co by nie buło jaki bachandryi, jak sie drzwi roztworzum, bo zawżdy cinygim wew ty kolejce wiara buła na sie napuczuno, zez pode łba na sie szpycowali i łodźynali sie łostro. Czasym to buło tak: dochodzi jaki łoptymista na kuniec i sie pyto: „Pani jezd łostatnio?”, a una mu na to: „Co, to już gorszych ni ma?”.

Zaś nastympno pyto: „Pan stoi na kuńcu?”.

– Nie, na nogach!
– A co tu bydzie można dostać?
– Jak za mnum, to nic, a jak przedy mnum, to po sznupie!

Zaś baba sie łodźyno:
– Pocałuj mnie pan, wiysz pan w co!
– Łe jery, pani, jo tu żym przyłoz za chabasym, a nie na pieszczoty.

Widać, bardzo sie naród wew tych kolejkach nie kochoł, bo każdy jedyn so wyobroził różniaste

chabasy, kiełby i szynki, a zaś potym normalnie sie łokozało, co dowieźli – aby dwie kisty żeberek, dziebko gnotów na galart, troche kichy i leberki, a karmunady czy inkszygo miynsiwa nie wiadać ile, bo na widoku dla klijntów na sklepie nic nie buło wyłożune. A i tak półowa wiary zez ty kolejki wróciuła do chaci zdżoźniuno, co by upitrasić jakum naworke abo nudle, bo u chabaja co najwyży nie dali sie oranić, bo nic nie dostali kupić.

Wew tych kolejkach to barzy gorzy buło aby jeszczyk przed każdymi świyntami, bo sie wiara ustowiała zez wieczora poprzedniego dnia i zaś zapisywali sie na takie listy kolejkowe, co by nie buło bałaganu i to nie tylko u chabaja, ale wew koloniakach, jak ino ktoś puściuł bajer, co łoprócz octu i musztardy bydum towary zwane deficytowe, zez importu, jak pumerańcza abo cytryny. Aby szmergulasów i berbeli zawżdy buło doś dla wszyćkich.

Ale pod kuniec ty gospodarki planowy rychtyg i tego towaru cinygim brakowało. Zaś barzy niż jednodniowe kolejki do dziebko wyncy forsiaty wiary buły wielodniowe kolejki zez zapisami na towary zaliczane do luksusowych, jak grotty, telewizory, lodówki czy pralki. Pamiyntum, jak mojo ślubno, po cołki nocy warowanie pod sklepym, co mieli mieć lodówki, telefuniuła du mnie do roboty zez pytaniem, że dowieźli aby zamrażarki, wyinc czy brać? Jo na to: brać, nie obglundać sie, jak jezd okazja, a zaś bydymy sie martwić, co zez tym luksusym poczyniymy.

Dostała łostatniom, chociaż buła piyrzo wew kolejce, bo piyńć inkszych, co dowieźli, już buło sprzedane, nie wiada kumu i jakim sposobym. Reszta wiary zez kolejki dostała aby gramofuny i łodkurzacze, a marudery, co dobili po północy – fige zez makiym. Co najwyży mogli so nabazgrać wew ksiunżce życzyn i zażalyń, co wew każdym sklepie łobowiunzkowo wisiała na goździu. Może jeim to ulžuło wew ipcie, ale skutek buł taki, co so jeich wew tym sklepie zapamiyntali i zaś potym szans na luksusy ni mieli wcale.

Zaś bez tum planowum gospodarke, wew miare jak sie kraj rozwinął i Polska rosła wew siułe, a ludziom żulo się dostatnij, to wprowadzune buły kartki na wszyćkie towary, co by buło wiada, i ile sie kożdymu należy, guli czego planowanie siyngło łobywatelum do kiejdy, a tego rychtyk nikt, a Poloki najbarzy, spiłować ni mogli i zaś po wielki narodowy awanturze mummy dzisiej spóle zez Europum i rynek jak w cołki Europie, ino bejmów jak wiarze brakło, tak i dzisiej braknie, a czasym nawet i baży.

Życie na bluesowej nucie

Z Jarosławem Jaromi Drażewskim rozmawia Sebastian Gabryel

Gwara bezużyteczna nie jest, bo rozszerza spektrum werbalnego przekazywania informacji. Być może w dobie cyfryzacji, która informację skraca, kumuluje, kompresuje, gwara przeżywała kryzys, ale myślę, że teraz chętnie się do niej wraca.



SEBASTIAN GABRYEL: „Jestem bluesmanem” – tak wita się pan z odwiedzającymi na swojej stronie internetowej. Ale co to właściwie znaczy?

JAROSŁAW JAROMI DRAŻEWSKI: Bluesman to muzyk grający bluesa. Oczywiście ojcowie założyciele gatunku blues ze Stanów Zjednoczonych definiują to głębiej – ludzkie losy, styl życia, kłopoty, nałogi, alkohol, diabły i anioły, seks... Wykorzystując stworzone przez nich standardowe muzyczne formy, wpisuję w nie teksty z polskiego podwórka, gdzie też nie brakuje podobnych tematów. Właściwie powinienem napisać „Jestem polskim bluesmanem”.

Odmian bluesa jest mnóstwo. Dlaczego pan zainteresował się akurat bluesem gwarowym? Ba, można nawet powiedzieć, że jest pan jednym z prekursorów jego polskiego wydania.

Gwarą wielkopolską zainteresowało mnie w ubiegłym wieku Radio Merkury – audycją „Blubry starego Marycha” – jak i kapela Zza Winkla,

której wtedy nałogowo słuchałem. W stworzeniu przeze mnie bluesa pyrlandzkiego pomógł przypadek. Choć obaj mieszkamy w Kościanie, to Mariana Antoniego Bartkowiaka nie znałem, a na jego gwarową twórczość naprowadził mnie kolega z... Bydgoszczy, podsyłając link do jego strony. Tak mi się ta twórczość spodobała, że wysłałem do Mariana e-mail, w który wkleiłem mój tekst pt. „Zła kobieta” z pytaniem, czy nie przetłumaczyłby go na gwara. W odpowiedzi otrzymałem już przetłumaczony tekst („Frechowno baba”), jak i informację, że Marian jest moim fanem i ma moje płyty, co było dla mnie dużym i miłym zaskoczeniem.

Sporej części mieszkańców stolicy Wielkopolski gwara poznańska jest dobrze znana, jednak zapewne nie każdy spotkał się z jej kościańską odmianą. Czym różni się od typowo poznańskich blubrów?

Pewnie zmartwię czytelników, ale nie odróżniam kościańskiej odmiany od głównego nurtu gwary poznańskiej. Przytoczę jednak definicję innego dziennikarza, który chciał ode mnie uzyskać

JAROSŁAW JAROMI DRAŻEWSKI – muzyk, kompozytor, gitarzysta rockowy, bluesowy i jazzowy, prekursor bluesa gwarowego. Urodzony w Poznaniu, jednak od dzieciństwa mieszkający w Kościanie. Znany z takich zespołów, jak: The Key, Omen, Two Players, House Platz Blues, Blues Flowers, Cielak & Jaromi czy Blues Menu. Występuje i nagrywa również solo.

odpowiedź na podobne pytanie, a ze względu na mój brak rozeznania w końcu sam mi jej udzielił.

Wyrazy typowo gwarowe są identyczne, różnica tkwi w melodyce, intonacji, rozłożeniu akcentów. Twierdził, że Wielkopolanie spoza Kościana w rozmowie z kościaniakiem słyszą, że mówi on bardziej melodyjnie, z jakimś zaśpiewem. Ale ja, kościaniak, mogę tego nie słyszeć, tak jak mieszkaniec Lubelszczyzny nie słyszy, że „zaciąga”.

Koronnym dowodem na to, że blues i gwara to świetne połączenie, jest pana płyta „Blubrana migana zez Kościana”. Jaka jest jej historia?

To jest już druga moja gwarowa płyta, pierwsza była solowa pt. „Blubrane bluesy zez Pyrlandii”. Do nagrania tej, o którą pan pyta, był już zaangażowany zespół Jaromi zez Ekom, w którym oprócz mnie grają znana już szeroko w Polsce basistka Joanna Dudkowska i perkusista Tomasz Boguś. Gościnnie występują na niej też dwaj inni muzycy: waltornista Grzegorz Szumnarski i Andrzej Frankiewicz – duziarz z podkościańskiego Bonikowa. Płyta zespołu JzE powstała z inicjatywy Urzędu Miejskiego w Kościanie, do którego jakimś cudem trafiła ta moja pierwsza, solowa płyta gwarowa. Spodobała się – urząd zasponsorował to nagranie.

Kiedyś usłyszałem kontrowersyjną opinię, że gwara to „bezużyteczny przeżytek”. Co powiedziałałby pan osobom – zwłaszcza młodym – dla których posługiwanie się lokalną mową to obciach?

Nie spotkałem się bezpośrednio z taką opinią. Nie widzę także negatywnego nastawienia do ludzi mówiących gwara. Faktem jest, że w Wielkopolsce gwara zanika, w odróżnieniu choćby od Górnego Śląska, gdzie jest odwrotnie. Ale jednocześnie odbywa się też coraz więcej imprez kulturalnych promujących gwara, która bezużyteczna nie jest, bo rozszerza spektrum werbalnego przekazywania informacji. Być może w dobie cyfryzacji, która informację skraca, kumuluje, kompresuje, gwara przeżywała kryzys, ale myślę, że teraz chętnie się do niej wraca.

Zazwyczaj o to nie proszę, jednak tym razem zrobię wyjątek – co na koniec chciałby pan przekazać naszym czytelnikom? Oczywiście w kościańskiej gwarze! [śmiech]

Tej wiara! Du wos godoł wesoly Jaromi, co swojum gitarke zawsze chyntnie uruchomi. I wew harmoszke zes cołki epy dmucho oraz spiywo letko, jednakoz zez uczuciem o swym zyciu, co sie rychtyk cinyngiyum toczy po bluesowej nucie!

ZDJĘCIE: Mariusz Forecki

Justyna Kobus

Z gwarą na językach

Czy ktoś jeszcze mówi dziś gwarą oraz czy „klejdry” i „klekoty” to wyrazy minionego stulecia? To, jak mówimy, określa naszą tożsamość – warto chronić tradycję ukrytą w języku mieszkańców wsi.



Ludzie pytają mnie często, czym zajmuję się zawodowo. Odpowiadam, że jestem dialektologiem. Zdziwione spojrzenie rozmówcy wyraźnie wskazuje, że odpowiedź nie była satysfakcjonująca i wymaga uściślenia. Dodaję wówczas, że jak przyrodnik chroni zagrożone gatunki, tak dialektolog otacza opieką ginące formy językowe – typowe niegdyś dla mowy mieszkańców wsi.

Kusi mnie także, by dodać, że to już nie te same gwary, co przed 50 czy 100 laty. I że mimo to moja praca jest pieczę nad językiem, kulturą, tożsamością nas wszystkich jako Polaków, jako Wielkopolan. Jednak ten wykład pomijam, by zaspokoić ciekawość pytającego: Po co to robię? Komu to potrzebne? Jaki jest tego sens?

Skibki i przylepki

Wracam pamięcią do lat dziecińczych. Jestem u dziadków niedaleko Poznania (sporo lat wstecz) – wysłano mnie do sklepu po chleb. Zastanawiam się, gdzie ten sklep dziadek sobie zorganizował. W końcu pytam mamę, która wyjaśnia, że dziadek miał na myśli sklep (jedyne zresztą w okolicy). Potem u dziadków z Podlasia odkryłam ze zdumieniem, że chleb po pokrojeniu nie składa się wcale ze skibek (względnie sznytek), ale z przylepek (zewnątrzne fragmenty bochenka) i kromek (środkowe fragmenty bochenka, między przylepkami, czyli wielkopolskimi kromkami).

Dziś dziadkowie już nie żyją, ale cały czas pamiętam, że dzięki nim otrzymałam lekcję gwary już

we wczesnym dzieciństwie. Mówili do mnie swoim tradycyjnym, wyniesionym z domu językiem, a ja, po pierwsze, dziecko miasta, musiałam nauczyć się języka wsi, po drugie – z pochodzenia i wychowania Wielkopolanka – jadąc do rodziny z innego regionu, nastawiałam się na odmienne nazywanie najprostszych nawet rzeczy. Badam zatem gwary czy też to, co z nich zostało, bo zdaję sobie sprawę, że jest to moje dziedzictwo.

Warto pamiętać

Pierwsze lata XXI wieku – dialektologiczne badania terenowe. W rozmowie z gospodarzem z Krzyszczewa koło Gniezna (ur. w 1927 roku) pod koniec spotkania padła istotna uwaga: „No powinno pamiętać się te ... młodzież powinna trochę pamiętać ... te stare czasy ...” (zapis wypowiedzi zgodny z zasadą przyjętą w Pracowni Dialektologicznej UAM i stosowany przez nas we wszystkich publikacjach).

Wielu naszych rozmówców zwraca uwagę właśnie na to, że młodzi ludzie winni wiedzieć, znać tę część historii, której nie uczą się z książek, ale przekazać ją mogą dziadkowie. Ileż to razy podczas dyskusji o sprawach gospodarskich zbaczaliśmy z tematu, by wysłuchać wspomnień z czasu przedwojennego, gdy Polak z Niemcem żyli w sąsiedzkiej zgodzie, trudnego okresu wojny, okupacji, PRL-u, nowych doświadczeń płynących z życia z przesiedleńcami, bycia przesiedlonymi. Są to zmagania ściśle powiązane z poczuciem obcości ujawniającej

JUSTYNA KOBUS – absolwentka UAM (filologii polskiej i studiów podyplomowych z archiwistyki i zarządzania dokumentacją); doktor w Pracowni Dialektologicznej UAM. Prowadzi badania terenowe polegające na fonograficznej archiwizacji gwar.

się w pierwszej kolejności w sposobie porozumiewania – w używanym języku.

Oto wypowiedź mieszkańca (ur. w 1926 roku) z Baranówka koło Mosiny: „Oni byli tam gdzieś ... ja nie wiem ... ze wschodu bardziej ... bo oni kupili te gospodarstwo przyjeżdżając z Ameryki ... nie ... w Ameryce się dorobili i tu kupili od Niemca to gospodarstwo ... to on zawsze jag orał ... to nie mówił hojd ani ćwie tylko ... ksobie i łójć ... to to nie wiem co to miało znaczyć ale ... ale to było takie uon tam inaczej nie ... nie ... na te konie nie ... no one by... no rozumiało go ... no ...”.

Ten krótki cytat pokazuje, że sposób mówienia nie był i nie jest obojętny mieszkańcom wsi. Warto więc badać regionalne i lokalne odmiany polszczyzny dla naszych dziadków, rodziców i przyszłych pokoleń.

Marketing i obciach

I jeszcze jedno przytoczenie. Rozmowa z kobietą (ur. w 1934 roku) w Bukówcu Górnym koło Leszna. Kto taki „klejdrorz”? Odpowiedź: „ue tutaj wszyscy na wsi lubiom klejdrać ... [...] te kobiety idom tam gdzieś ... nie ... i tam opowiadają to i owo ... i potym jak wyjdzie to każdemu trochę inaczej już to ustroi ... powie ... to już som te kojdy ... już takich kojdy nieroz naopowiadają te kobiety że głowa boli ... albo mogom zakłócić kojdami ... bo jag naopowiadają ... nie ... takie niestworzone ... to się pokłócom ... [...] chłopcy tyż teraz som klejdziore ... nie aby ty kobiety ... bo chłopcy się obmywają ... mówiom: baby to aby klejdrajom ... a óni to tacy świenci ... a óni też naklejdrajom ...”.

U mnie też można robić „klejdry”, ale baby „klekotają”. Odpowiedź: „No to klekotają to rozmawiam i zaś tych klejdrów narobiom i jak to tam ktoś ... ktoś wyniesie i opowie ... nie ... mówi tej ta to a tamto mówiła ... nie ... a ta znowu jeszcze dołoży coś i wyjdzie takie klejdry niesamowite ... [...] albo tyż oczerniom ... nie ... jak to się mówi oczerniom ... obgodajom że tak wcale nie było a tak kalite komuż mówie się przywali ... takim kalite że koniec ...”.

Ta niedługa rozmowa o plotkach i plotkowaniu pokazała, jak wiele nazw wchodzących w skład języka polskiego jest nam jeszcze nieznanymi. Część z nich zapewne odejdzie w niepamięć wraz z ludźmi, od których je usłyszeliśmy. Inne wyrazy i formy będą jeszcze długo funkcjonowały wśród mieszkańców badanej wsi. Jeszcze inne przekroczą granice wsi, by niespodziewanie wypłynąć w kulturze masowej, np. jako hasło reklamowe, względnie nazwy produktów o charakterze regionalnym (wszak gwara stała się modna marketingowo, choć niestety nadal postrzegana jest w życiu codziennym jako „nieży obciach”).

Gwara ewoluje i nie jest już dziś tak barwna jak mowa dziadków. Nadal jednak jest i warto dać jej szansę, by trwała. Nie bójmy się zatem „klekotać” czy „klejdrać” gwarą i o gwarze, bo to dar przekazywany z pokolenia na pokolenie – oryginalność i wartość sama w sobie.

ZDJĘCIE: Baranówko, lata 30. XX wieku; archiwum Pracowni Dialektologicznej UAM

Praktyka tradycji

Z Anną Kaźmierak rozmawia Urszula Putyńska

„Z miejscami, z których pochodzimy, jesteśmy związani jak z rodziną. Warto je poznać” – o pasji odkrywania lokalnej przeszłości opowiada autorka „Elementarza tradycji Regionu Kozła”, książki o regionalnych obrzędach i tradycji.



URSZULA PUTYŃSKA: W swojej książce proponuje pani dzieciom zabawę połączoną ze zdobywaniem wiedzy o zwyczajach typowych dla zachodniej Wielkopolski. Co było impulsem do stworzenia „Elementarza tradycji Regionu Kozła”?

ANNA KAŹMIERAK: Kilka lat temu odkryłam dla siebie ogrom dobrodziejstw płynących z uczestnictwa w kulturze tradycyjnej. Obrzędy, taniec, śpiew to de facto spotkanie. Także spotkanie swojej przeszłości. Z miejscami, z których pochodzimy, jesteśmy związani jak z rodziną. Warto je poznać. A kiedy poznanie dokonuje się przez zabawę, jak ma to miejsce w tej książce, wtedy włączają się pozytywne emocje. A emocje zapisują się w człowieku dużo lepiej niż wiedza.

Książka zakłada aktywny współdziałanie czytelnika w jej tworzeniu. To pani zdaniem najlepszy sposób na zapoznanie najmłodszych odbiorców z lokalną przeszłością?

Dzieci uczą się przez doświadczenie. Najbardziej lubią doświadczać zabawy. „Elementarz...” to książka aktywnościowa. Dzieci (choć mam nadzieję, że nie tylko one) uzupełniają ilustrowane zadania, które polegają na rysowaniu, kopiowaniu, kolorowaniu, wyszukiwaniu. Mażąc po starych fotografiach, mają okazję spoglądać w oczy ludziom, którzy żyli przed nami, i zobaczyć kształtowany przez nich świat.

Przechodzą przez terytoria kulturowe, których już nie ma, a także poznają sposoby, jak je przywracać i znajdować dla nich miejsce we własnym życiu.

Pani znalazła na to swoją metodę – autorskim ilustracjom towarzyszą oryginalne fotografie, niejednokrotnie twórczo przetworzone. Co zadecydowało o kolażowym charakterze „Elementarza...”?

Fotografie były właściwie punktem wyjścia. Książkę tworzyłam, pracując w Fundacji TRES, której zadaniem jest opieka nad kolekcją szklanych negatywów wykonanych na przełomie XIX i XX wieku przez fotografa ze Zbąszynia – Constantego Sikorskiego. Ponieważ Fundację tworzą artyści, poza szacunkiem do znaków przeszłości panuje tam duża otwartość na eksperyment. Podmalowywanie i wymazywanie przeze mnie archiwaliów jest jak przerabianie sukni babci. Pamiątki przestają być tylko reliktem przeszłości. Włączamy to, co minione do swojego „teraz”.

Wskazuje pani nie tylko na specyfikę regionalnej kultury muzyczno-tanecznej i zwyczaje (jak choćby cymper), ale również na charakterystyczny dla tej części Wielkopolski język. Po połączeniu kropek dowiemy się na przykład, co w Regionie Kozła znaczy „kejter” lub „wisielok”. Gwara może być intrygującym tematem dla dzieci?

ANNA KAŹMIERAK – dwukrotnie ukończyła łódzką Akademię Sztuk Pięknych na kierunkach Edukacja Artystyczna oraz Grafika i Malarstwo. Ekspresyjna ilustratorka i grafik. Od kilku lat intensywnie zajmuje się praktycznym zgłębianiem kultury tradycyjnej polskiej wsi. Tworzy etnograficzne książki dla dzieci we własnym studiu graficznym „Miło to widzieć”.

Stopień zachowania kultury tradycyjnej w zachodniej Wielkopolsce jest dużo większy niż w innych rejonach kraju. Był to jeden z pierwszych moich zachwytów po przeprowadzce parę lat temu do Poznania. Tutaj, nawet w mieście, usłyszałam wiele słów gwarowych, których znaczenia nie znałam. Mam wrażenie, że mieszkańców wsi wielkopolskich ominął powszechny w innych stronach kraju wstyd wobec swego pochodzenia.

W Regionie Kozła dzieci równie chętnie uczą się gwary, jak i dawnych tańców czy muzyki. Jestem tym oczarowana i dzielę się tą fascynacją w książce. Moja definicja edukacji to rozbudzanie w odbiorcy zainteresowania do treści, które pasjonują nauczyciela. Jestem też ilustratorką, więc słowo stanowi dla mnie punkt wyjścia – jest dźwiękiem i obrazem. W czasach kultury wizualnej czuję się z tym na miejscu.

Czy „Elementarz...” miałby być punktem wyjścia do dalszego zgłębiania regionalnych tradycji i poznawania historii miejsca, języka? To wskazówka dla rodziców, by na przykład wspólnie z dziećmi odwiedzić lokalne muzeum lub wybrać się na Biesiadę Kozłarską?

Miejsca, budynki, przedmioty, muzyka, ludzie i zwyczaje budują nasze krajobrazy wspomnień. Z jednej strony, wydaje mi się, że lokalna kultura tradycyjna opisywana w „Elementarzu...” jest mieszkańcom Regionu Kozła powszechnie znana. Większość jej elementów przecież do dziś się tu praktykuje. Z drugiej strony, lubimy wracać do tego, co już wiemy, co jest wyznacznikiem naszej tożsamości.

W moim założeniu przywoływanie konkretnego mikroświata nie jest przeznaczone jedynie dla lokalnej społeczności. To przykład opowieści, którą każdy może osnuć wokół swojej przeszłości i własnej małej ojczyzny. Przyczynkiem do tego może stać się chociażby rodzinne archiwum fotograficzne.

Książka inspirowała do spotkań małych odbiorców z najstarszymi członkami rodziny, zainteresowania ich przeszłością. Myśli pani o „Elementarzu...” jako formie wspierania międzypokoleniowego dialogu?

Dialog realizuje się poprzez rozmowę. Nic nie zastąpi żywego kontaktu z drugim człowiekiem czy kulturą. Choć pewnie moja książka może być punktem wyjścia w rozmowie o przodkach. Przyczynkiem do zadawania pytań, a może nawet zachętą do rozpoczęcia praktyki tradycji – tańca, muzykowania, śpiewu, kuchni tradycyjnej, dawnych rzemiosł czy obrzędów. Opowiadam o tym, co uważam za ważne. Jeśli skorzystają na tym dzieci, będzie mi bardzo miło.

ZDJĘCIE: Fundacja TRES

Misiu Szpeniolek

Klasyka literatury dla dzieci – tym razem w gwarze wielkopolskiej. Opowieść o Kubusiu Puchatku, znanym po wielkopolsku jako Misiu Szpeniolek, a także o przygodach jego przyjaciół, którzy mają cudne imiona: Klapiuchol, Proszczoczek czy Piszczoly. Tylko u nas premierowe fragmenty książki!

**A.A. Milne,
„Misiu Szpeniolek”**

**przetmiął na gwarcę wielkopolską
Juliusz Kubel**

– Dziyń dobry, Krzysiu! – powiedział Szpeniolek.
– Dziyń dobry, Misiu Szpeniolku! – ty powie-
dzioteś.
– Tej, jo bym chcioł wiedzieć, czy ty czasem nie
mosz akurat przy się coś à la balónik.
– Balónik?
– No. Jak szłym do cie, to se tak brynczołym pod
kluką: „Jezdym ciekawy, żeli tyn Krzysiu mo przy się
akurat coś podanego na balónik?”. Właśnie tak żym
se blubroł i żem myśloł o balónikach.
– Tej, a na co ci balónik?
Misiu Szpeniolek szpynął doobkoła, żeli nikt
nie słucho, przytknął pazurę do kalafki i wyszeptoł:
– Miodek!
– Tej, ale co mo zaś balónik do miodku?
– Mo – Szpeniolek mu na to. – No bo właśnie tak
było, że jeden dziyń nazod tymu ty żeś bół się bawić
zez twoim nowym komplem, Proszczoczkiym, i do
szportu dostaliście wszyscy nadyndane balóny. I do
cie był balónik zielóny, a jedyn z famuły Królasa
chapanął wielgalachny niebieski balón i zapomniał
ónego zabrać zez sobą do chaty, bo był z niego do-
prowdy jeszcze za mały szczawik do chodzynia po
zabawach, no, a ty przyniesieś do chaty i tyn zielóny,
i tyn niebieski balón.
– A ty którygó byś chcioł? – spytoeś się
Szpeniolka.
Podparł głowę na pazurach i dali teraz myśleć
z wielgą troską.
– Tej, wiesz co, to jest tak – ón stwyrdził. – Jak
się idzie po miodek zez balónem, to trzeba uwożać,
ażeby piszczoły nie kapły się, po co się idzie. Wyinc,
jak się mo przy się zielóny balónik, to te piszczoły
mogą se pomyśleć, że to jest kawołek drzewa i wew
wogle nie kapnąć się, kto tyż idzie, a żeli się mo tyn
niebieski balónik, to jedno, co mogą se pomyśleć,
to jest to, że widzą kawołek nieba, i tyż nie kapnąć
się, kto to idzie. A obecnie rozchodzi się o to, jaki
balón wybrać.
– A powiedz mi, czy te piszczoły ni mogą cie za-
uważyć pod balónikiem? – się spytoeś.
– Mogą albo nie. – Misiu Szpeniolek mu na to. –
Zez piszczołami nigdy nic nie wiada. – Pomyśloł
bez chwili i zaś powiedział: – Spróbuję być poda-
ny z wyglądu na maciupcia czorną chmurkę. To im
powinno wszystko pomojtać.
– Jak tak, to lepi, żebyś mioł przy się niebieski
balónik – powiedzioteś. I tak zaś się stanęło.
No i poszliście oba zez niebieskim balónikiym,
a ty zaś chapeś pod pachę giwerę, tak aby na wszel-
ki wypadek, jak to zowdy robisz, a Misiu Szpeniolek

poszedł wew jedno połe glajdy miejsce, co je znoł,
i zaczął się torzać i torzać, oż nie stoł się cołkiem
czorny.

Zaś po tym, jak balónik zostoł akuratnie nadynd-
dany i wyglóndoł na wielgalachny, oba chapaniście
za sznuryszek, a ty wypuściłeś gó nogle i Misiu Sze-
niolek paradnie polecioł do góry. I ruk-cuk nojdnął
się na miejscu, podhejbowany na wysokość drzewa,
ale ko szóściu metrów od pnia.

– Hura! – zakrzykłeś.

– Prowda, że jest piynknie? – zawołoł Misiu
Szpeniolek do cie, ale zez samey góry. – Jak jo wy-
glóndom zez dołu?!

A ty mu odkrzykłeś:

– Wyglóndosz istny niedźwidyż uhaczony do
balónika.

– A nie – spytoł się Szpeniolek zawiedziony – ist-
no maciupcio czorna chmurka na niebieskim niebie?
– Nie za bardzo.

– Zaś ale może tam, u góry, to wszystko wyglón-
do inacy. Już ci roz godołym, że zez piszczołami ni-
gdy nic nie wiada.

Wew wogle nie wiało, żeby cug zbliżył Misia
Szpeniolka do pnia, wyinc wiośoł wew powietrzu,
ale cołkiem bez ruchu. Widzioł miod, czuł zapach
miodu, ale nie mógl gó sięgnąć.

Tej i po króciuteńkiej chwili Misiu zawołoł
do cie na dół:

– Krzysiu!

– Co żeś chcioł?

– Mi się zdaje, że piszczoły coś przewachały.

– Ale zaś co?

– Konkretno nie wiyem, ale mi się zdaje, że óne
się kapły.

– I uwożają, że ty chcesz się dobrać do jeich
miodku?

– Może. Zez piszczołami nigdy nic nie wiada.

Znowu przestali godać. Oż koniec kóńców Mi-
siu Szpeniolek zakrzykł do cie zez góry:

– Krzysiu!

– Co?

– Czy ty mosz w chacie karasol?

– Mom. A czymu się pytosz?

– Jo bym chcioł, żebyś ónego tu przytośtoł i po-
chodził z nim wewte i nazod, i godoł, ale tak porę
razy: „Łejejkusie kochane, zaro bydzie gisówa”... Ja
osobiście twiyrdzę, że to bydzie nojlepszy knyf na
te piszczoły.

A ty se pomyśloeś: „Ty gupkowaty szpeniol-
kowaty Misiu!” – ale nie powiedzioteś tegó na cołki
głos, bo za dość gó lubisz, ino poszleś do chaty po
ten karasol.

– No jezdeś koniec kóńców! – zawołoł z góry Mi-
siu Szpeniolek, jak ino przyszłes nazod pod drzewo. –
Już byłem o cie nerwowi. A do tegó jo dali twiyrdzę,
że te piszczoły coś wykapowały.

– Czy mom roztworzyć karasol? – ty się spytoeś.

– Pewno, że tak. Ino poczekej chwilkę. Muszy-
my mieć rozumek. Ta piszczoła, co my ją momy
oszwabić przede wszystkim, to jest jeich Królowa.
Czy ty umiesz poznać zez dołu Królową Piszczolów
i oddzielić od innych piszczołów, co nie są Królową?

– Nie.

– Łe, to szkoda. Ale trudno, darmo. Muszimy
se poradzić inacy. Teroz, jak ty bydziesz chodził zez
karasolem wte i nazod, i bydziesz godoł: „Łejejkusie
kochane, zaro bydzie gisówa”, to jo zaśpiywom Pio-
synkę Chmurków, ale taką, co ją może aby Chmur-
ka zaśpiywać. No, to przetwieraj z tym karasolem,
dali, dali...

No i wtedy, jak ty się przetwiyrołes tam i nazod
i żeś myśloł, czy bydzie gisówa, czy nie, Misiu Sze-
niolek zaśpiywol taką piosynkę:

Ale fajno być Chmurką
I w niebie się bachać jak w wodzie,
Być taką lekutką jak piórko
I na głos se śpiywać na codziyń.

Ale fajno być Chmurką
I w niebie się bachać jak w wodzie,
I chować się czasym za górką,
Lub kwitnąć jak kwicie w ogrodzie.

Piszczoly bzczały tak jakoś nieufno, jak to óne
lubieją. A porę z nich doprowdy wyleciało zez gnioz-
da i fruwało doobkoła Chmurki, jak Chmurka aku-
rat śpiywała drugą zwrotkę swojej piosynki. I nawet
jedna ucupła się na chwilkę na kluce Chmurki, ale
zaroz poleciała dali.

– Krzysiu, ałaaa, Krzysiu! – rozdarła kalafkę
Chmurka.

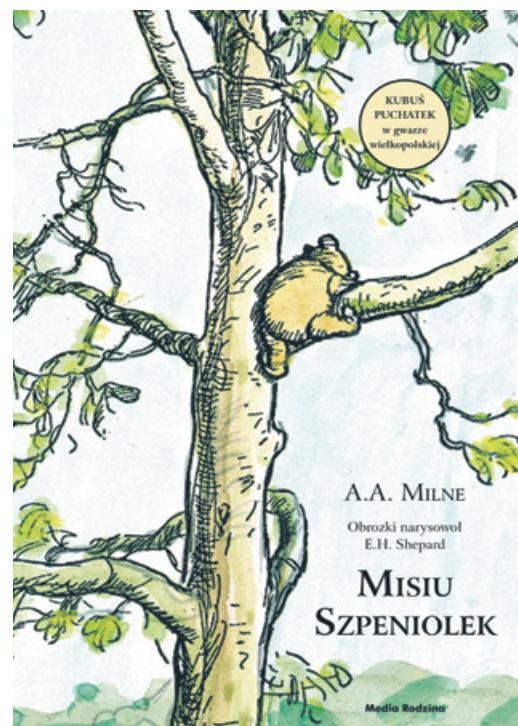
– Co?

– Tak se myślę i myślę... i obecnie już wiyem
to jak nic, że to jest jakaś cołkiem zła zorta tych
piszczołów.

– Tak ci się wydaje?

– Cołkiem zła zorta. I óne pewno robią zły
miodek.

– Tak myślisz?



A.A. Milne, „Misiu Szpeniolek”, ilustracje:
Ernest H. Shephard, przekład: Juliusz Kubel,
Wydawnictwo Media Rodzina, Poznań 2019.